

Dziennik Karoliny

Piątek

Enrico zaprosił mnie na kolację. Przez moment poczułam się niezręcznie. Francesca była w Rzymie. Miała tam jakieś bardzo ważne spotkania dotyczące trendów w tegorocznej

modzie. Wydzwaniiała do mnie cały dzień. Myślę, że nie tylko do mnie, myślę, że przede wszystkim do Enrica. Wściekała się przez telefon. Narzekala na upał, hałas, korki, na wiecznie spieszących się mieszkańców Rzymu i wyjące bez przerwy sygnaty pędzących karetek. Złorzeczyła na obsługę w hotelu i zepsutą klimatyzację, na brud w metrze i psie gówna na ulicach, na setki bezdomnych kotów. Przeszkadzało jej wszystko. Ona nie cierpi dużych miast. Czuje się w nich nieszczęśliwa i zagubiona. Uważa, że nawet kolory są tam inne – niewyraźne, rozmazane, jakby zamglone. Francesca jest typowym dzieckiem prowincji. Kocha ciszę, spokój, powoli, leniwie biegnący czas... Dzisiaj w Rzymie czuła się wyjątkowo fatalnie. Myślałam, że Enrico do niej pojedzie. W końcu jest piątek, zaczyna się weekend, a Francesca musi tam zostać jeszcze do niedzieli. Nie pojechał. Zaprosił mnie na kolację. Byliśmy już wiele razy razem na kolacji, z Francescą i sami, często padnięci po przepracowanym dniu kończyliśmy dzień wspólnym posiłkiem. Jedliśmy najczęściej zupy. Uwielbiam toskańskie zupy. Znam już chyba wszystkie możliwe odmiany zupy cebulowej i fasolowej, pomidorowej z chlebem, zupy ze szpinaku i ricotty, zupy z sałaty... Niedrogo, pożywnie, na swój sposób wykwinnie. Wypiliśmy już razem całe morze chianti. Bywało, że żegnaliśmy się, staniając się na nogach z nadmiaru alkoholu i ze zmęczenia. Dzisiaj pracowaliśmy osobno. On miał coś tam posprawdzać we Florencji. Ja miałam malować winnicę niedaleko Podere Mezzastrada. Nie wiem, co on zatatwił i czy zatatwił cokolwiek, ale u mnie skończyło się na malowaniu rozpadającej się bramy, za którą rozciąga się aleja, gęsto obsadzona drzewami. Konary drzew splatają się z sobą, tworząc zielony tunel nad ostro pnącą się ku górze kamienistą drogą pełną wybojów. Ta aleja wygląda niesamowicie, jakby drzewa miały ramiona, którymi próbują się przyciągnąć i objąć. Zielony tunel wydał mi się rzeczą nadprzyrodzoną. Pracowałam

cały dzień. Wyszło mi. Jestem zadowolona. Ni to drzewa, ni to ludzie, i ta pnąca się ku górze, nie wiadomo dokąd i po co, przez nikogo już zapewne od dawna nieuczęszczana droga. Trochę jak alegoria ludzkiego życia. Enrico zadzwonił po południu i zaprosił mnie na tę kolację. Zgodziłam się z ciekawości. Powiedział, że zabierze mnie w niesamowite miejsce. Zawiózł mnie do Castello di Santa Maria Novella. Zdziwił mnie. Widzę to zamczysko ze swoich okien. Może kiedyś je nawet namaluję. Musi niesamowicie wyglądać, kiedy zza jego murów wschodzi słońce. Szkoda tylko, że słońce wschodzi tak wcześnie. Nie lubię wstawać skoro świt. Nie należę do skowronków. Wstanie z łóżka przed ósmą uważam za ogromne poświęcenie. Siedzieliśmy, jedliśmy, piliśmy, rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym, a on mi się coraz natarczywiej przyglądał. Jego wzrok ślizgał się po mojej twarzy, omiatał ramiona, zatrzymywał się odrobinę dłużej na dekolcie mojej sukienki, zsuwał się w dół, wędrował po moich udach, ześlizgiwał się po nogach do bosych stóp wsuniętych w rzemyki sandałów. Początkowo krępowało mnie to. Uciekałam wzrokiem. Próbowatałm przerywać ciszę rozmową. Wydawało mi się, że nie usiedzę na miejscu. Enrico nie przestawał mi się przyglądać. Robił to coraz natarczywiej, coraz bezczelniej. Z czasem serce zaczęło mi bić szybciej, wino coraz bardziej szumiąło w głowie, z minuty na minutę było mi coraz bardziej gorąco. W pewnej chwili ten wędrujący po moim ciele wzrok przestał mi przeszkadzać. Zsunęłam sandał ze stopy. Dotknęłam bosą stopą jego nogi. Przesunęłam nią w górę po jego spodniach. Nie odrywał ode mnie wzroku. Przygryzł lekko wargi. Przy-mrużył oczy. Piękny jest ten Enrico. Nigdy wcześniej tego nie widziałam. Ma kruczoczarne kręcone włosy, ciemnoorzechowe oczy, smagłą cerę, ciemny zarost. Mocne ręce i mocne ramiona... Światło świec odbijało się w jego oczach. Ciepłe ogniki igrały jak szalone. Po jego twarzy błąkał się cień uśmiechu.

Ubrał się też na ten wieczór odświętnie. Inaczej niż zwykle. T-shirt zastąpiła błękitna koszula, zamiast noszonych zawsze dżinsów pojawiły się jasne spodnie. Nie mogłam od niego oderwać wzroku. „Mocne jest to chianti” – pomyślałam. „Jest jak Toskania – szumi w głowie, przyspiesza tętno, zniewala i rzuca na kolana. Wino z tej ziemi, jak ta ziemia, zwodnicze jak łany słoneczników, jak wzgórze falującej lawendy, jak strzelające ku słońcu cyprysy, jak pokrzywione drzewa oliwne, jak kamieniste drogi, porozrzucane po wzgórzach domy, górujące nad wszystkim zamki. Szalone wino, jak szalona jest cała Toskania”. Nie mogłam oderwać wzroku od Enrica. Podniosłam do ust kieliszek. Czerwona ciecz zachybotwała. Omiotła ścianki naczynia. Wydawała się lepka. Łyk wina, jeszcze jeden i jeszcze jeden. Zrobiło się jeszcze cieplej. Jeszcze bardziej gorąco. Serce забиło jeszcze szybciej. Uniósł do ust moją rękę. Poczulałam na wewnętrznej stronie dłoni jego ciepły oddech. Musnął ustami czubki moich palców. Przesunęłam palcem po jego wargach. Były gorące i wilgotne. Poczulałam jego język na opuszkach moich palców. Spodobala mi się ta pieśczość. Cofnęłam rękę. Zanurzyłam palec w winie. Dotknęłam jego ust. Dreszcz przebiegł mi przez ciało. Co ja wyczyniam, do cholery?! To jest przecież facet Franceski. Ale jej tutaj nie ma, przemknęło mi przez myśl, nigdy się przecież o niczym nie dowie. Ta chwila należy tylko do Enrica i do mnie. Tu nie chodzi o uczucia. Tu chodzi o pożądanie. Czysta, niezaburzona emocjami zmysłowość. Chwile rozkoszy bez konsekwencji. Pragnę go z minuty na minutę coraz bardziej. Co ja wyczyniam? Przekłete chianti. Dziwny wieczór. Nie chciałam się już kontrolować. Moja stopa nie przestawała wędrować po jego nodze. Przesuwała się tam i z powrotem, w górę i w dół. Na chwilę ujął ją w dłoń. Zatrzymał. Położył na stole klucz. Nie poczułam się urażona. Nie udawałam oburzonej. Nie grałam niedostępnej. Ucieszyłam się. Czyżby czytał w moich

myślach? Wyzwolony, jak i ja jestem wyzwolona. Pracujemy razem, a zupełnie się nie znamy. Na co dzień wydawał mi się gburowaty, małowówny, skoncentrowany na pracy, zakochany po uszy w seksownej Francesce, podporządkowany jej w każdym geście i w każdym słowie. W poprzecieranych dzinsach i T-shircie wyglądał inaczej niż dzisiaj. Pozory mylą. A może i ja w pracy z tym pędzlem w ręku i w wiecznie brudnych od farb ubraniach wyglądam nieatrakcyjnie? Może on też na co dzień widzi nie mnie, tylko moje sztalugi. Spojrzał na mnie, później na klucz. Jeszcze jeden lyk chianti i jeszcze jeden... To ja pierwsza wstałam od stołu. Świat zawirował dookoła. Serce zabiło mi jeszcze szybciej. Ruszyłam ku wyjściu z sali. Już w windzie zaczęliśmy się kochać. Na moment splotły się nasze dłonie, po czym zaczęły wędrować po naszych ciałach, coraz odważniej, coraz bardziej bezwstydnie, coraz drapieżniej.

– Czy kochałaś się już kiedyś w zamku? – Usłyszałam cichy szept tuż przy moim uchu. Nie, nie kochałam się nigdy w średniowiecznym zamku, nie kochałam w zatrzymanej pomiędzy piętrami windzie, nie kochałam na tarasie... Nie kochałam się bez miłości. To wszystko było po raz pierwszy.

Sobota

Enrico przyjechał do mnie niezapowiedziany późnym popołudniem. Pojechaliśmy na kawę do Florencji. Zaprosił mnie do małej kawiarenki przy Via dei Neri. Znali go tam wszyscy. Przywitali nas jak dobrych znajomych, nie jak kawiarnianych gości.

– Enrico, kim jest twoja towarzyszka? – spytał stojący za barem mężczyzna. Już wcześniej przyglądał mi się uważnie. W jego spojrzeniu była nieukrywana ciekawość. Nie wiem dlaczego, ale poczułam, że się czerwienię. Idiotyczne.

– *Artystką* – odpowiedział Enrico z ociąganiem.

– *Artystką?* Co ty nie powiesz... To w naszej ojczyźnie takie popularne. We Włoszech co dziesiąty facet czuje się artystą i co ósma kobieta...

– *Ona nie jest Włoszką* – przerwał mu Enrico. – *Jest niesamowita w tym, co robi. Potrzebuje natchnienia, specjalnej okazji, tej niepowtarzalnej chwili, odpowiedniej muzyki i odpowiedniego światła. Jej sztuka potrzebuje specjalnego odbiorcy, specjalnej oprawy. Nie każdy ją zrozumie. Nie każdy doceni. Nie jest dla każdego. Jest finezyjna, niepowtarzalna, nie do podrobienia. To, co robi, jest wyrafinowane i wyjątkowe. Zapiera dech w piersiach, budzi dreszcze emocji, pobudza wszystkie zmysły, nie pozwala zmrużyć oka, powoduje, że niecierpliwie czekasz na kolejne dzieło, wierząc, że powstanie...*

„O czym on mówi, do cholery?” – pomyślałam przerażona. „O seksie czy o malarstwie? O szalonej nocy czy o akwareli przedstawiającej zachód słońca nad San Gimignano?” Jak na złość, rozmowy ucichły. W kawiarence zapanowała cisza. Zaintrygował wszystkich. Wiele par oczu zwróciło się w moją stronę. Enrico przyglądał mi się spod przymrużonych powiek coraz nachalniej, coraz bardziej bezczelnie, z ledwie zauważalnym uśmiechem błakającym się po twarzy.

– *Zakochałeś się?* – padło pytanie od stolika pod ścianą.

– *Nie mówię o miłości. Ja mówię o sztuce. Karolina jest malarką.*

To było dziwne popołudnie. Dziwne przez swą zwyczajność. Czyżbym uważała, że po tej nocy wszystko musi być erotyczne, podniecające, nadzwyczajne? Że liczy się tylko czas, kiedy serce uderza jak oszalone, mięśnie drżą ze zmęczenia, ciało przebiegają kolejne fale rozkoszy, kiedy jego szepty zlewają się w jedno z moimi, kiedy nasze usta odkrywają najsekretniejsze zakamarki naszych ciał, a ręce są źródłem nieopisanego rozkoszy? Kiedy jego usta gaszą moje krzyki?

Tymczasem nic z erotyzmu, nic z seksu, tylko takie zwyczajne popołudnie. Amelia uczyła mnie malować obrazki na powierzchni caffè latte. Po chwili spod mojej ręki zaczęły wychodzić pękate serca, kwitnące kwiaty, drzewka oliwne, stojące w erekcji penisy, cysate kobiety i wszystko inne, co tylko klienci życzyli sobie zobaczyć na powierzchni swojej kawy. Klient płaci, klient ma. Obok mnie stała puszka z napisem: „wolne datki na chianti dla wszystkich”. Co chwilę z brzękiem wpadały do puszki kolejne monety. W końcu to przecież kawiarnia w samym sercu Toskanii. Liczy się dobra kawa, dobre ciasto i dobre wino. Na tę krótką chwilę poza tym nie liczy się nic. Dekorowałam kawy, słuchając muzyki ze starych winylowych płyt, jadłam panna cottę. Słuchałam, jak Enrico rozmawia z tym stojącym przy barze Filippem na nic nieznaczące i obce dla mnie tematy i czułam się na swój sposób szczęśliwa. Enrico zachowywał się powściągliwie. Trzymał dystans. Parę razy rzucił w moją stronę obojętne, pozbawione wszelkich emocji spojrzenie. W pewnym momencie pomyślałam, że niepotrzebnie się męczy, przecież ja na niego i tak dzisiaj nie czekałam. Faceci to idioci. Wydaje im się, że wiedzą wszystko o kobietach. Spędziliśmy z sobą noc i to wszystko. Są ludzie, którzy piją z sobą kawę, są ludzie, którzy z sobą pracują, i są ludzie, którzy uprawiają z sobą seks, choć nic to dla nich nie znaczy. Czyżby on myślał inaczej? Wyszliśmy stamtąd o zmroku.

– Rozmawiałeś dzisiaj z Francescą?

– Rozmawiałem – odpowiedział rozdrażniony. Chyba nie chciał o tym mówić. – Była wściekła, że nie odebrałem jej telefonu w nocy, bo właśnie miała ochotę na seks przez telefon. Narzekła na duchotę w hotelu i słoną wodę mineralną w hotelowej lodówce. Nie podobają jej się trendy w jesiennej modzie. Nie widzi miejsca dla koloru pomarańczowego w tworzonej przez siebie kolekcji. Połączenie pomarańczu

z różnymi odcieniami brązu uważa za staroświeckie, zgrane i beznadziejne. Połączyłaby go z zimnym cytrynowym, ale nikt jej pomysłu na tych jej warsztatach nie rozumie. Nie spotkała starych znajomych. Na nowych nie ma ochoty. Wszyscy są żalotnymi dupkami, którzy powtarzają pomysły za zdziwaczalymi, starymi, zgrzybiałymi projektantami mody. Twierdzi, że moda włoska jest bez klasy, że się szmaci i starzeje... Jakiś Cygan obmacał ją w metrze... Na chwilę ją to podnieciło. Ponoć prawie doprowadziło do orgazmu. – Zamilkł. – Masz ochotę tego gówna słuchać dalej? – spytał po chwili niespodziewanie.

– Nie. Już to słyszałam. Dzwoniła do mnie rano.

– Słyszataś wszystko, włącznie z tą gadką o onanizowaniu się?

– Włącznie. Ma jakieś twoje wywody nagrane na komórkę. Skorzystała ze starych nagrań. Mówiła, że było doskonale.

– Opowiedziała ci ze szczegółami to obmacywanie w metrze? – dopytywał z niedowierzaniem.

– Tak.

– Żalotne... Chcesz potańczyć? – zmienił nagle temat.

– Potańczyć? – W pierwszej chwili nie zrozumiałam.

– Dziś jest sobota. Nie masz ochoty potańczyć? – spytał zdziwiony. – Przecież wiem, że lubisz tańczyć. Widziałem.

Jak to: widział? Przecież ja tańczę tylko u siebie w domu. Nie mam z kim tutaj chodzić potańczyć.

Znał klub w okolicy. Wstąpiliśmy na chwilę. On zatrzymał się przy barze. Ja poszłam tańczyć. Pił drinka, śledził mnie wzrokiem. Obserwował, kiedy wtopiłam się w tłum na parkiecie, kiedy zaczęłam tańczyć. Nie odrywał ode mnie wzroku. To jego spojrzenie z minuty na minutę podniecało mnie coraz bardziej. Było wspomnieniem nocy, czułych szepcótów, głośnych krzyków, bezwstydných pocałunków, wyuzdanych pieszczot, rozkoszy. Czarna sukienka wyróżniała mnie

z tłumem. Była zbyt obcista i odważnie za krótka. Przyciągała oczy nie tylko Enrica. Ścigało mnie wzrokiem wielu facetów. Włożyłam tę sukienkę tylko dla niego. Zwykle się tak nie ubieram. To nie mój styl. Tylko narzucona na ramiona chusta była w moim stylu. Delikatna jak mgielka, ozdobiona moimi ulubionymi różnobarwnymi motylami, próbującymi się oderwać od trzymającej je pajęczyny cienkich nitek, starającymi się odfrunąć w kierunku słońca, nieba, nieograniczonej przestrzeni, wolności. Nie tak dawno zrobiłam dziesiątki takich chust. Sprzedawały się jak świeże bułeczki. Pozwoliły mi przetrwać pierwszy okres mojego pobytu w Toskanii. Zostawiłam sobie tylko tę jedną. Wydawała mi się najpiękniejsza. Motyle na niej były karminowoczerwone. Pasowały do karminowych szpilek i mocnego makijażu. Były przewrotne i grzeczne w tej całej niegrzecznej całości. Chustka zaczęła mi krępować ruchy. Przewiązałam się nią w pasie. Opięła się na biodrach, pokreśliła talię. Zrzuciłam buty ze stóp. Przeszkadzały w tańcu. Tańczący wokół mnie się rozstąpili. Zaczęłam tańczyć otoczona kołem dopingujących mnie ludzi. Tańczyłam jak szalona. A on stał, pił kolejnego drinka i nie odrywał ode mnie wzroku. Tańczę dla siebie czy dla niego? On ma na co dzień seksowną kobietę, kopniętą erotomanek onanizującą się przy jego głosie, dającą się obmacywać w metrze... Ja na co dzień spędzam czas przy sztalugach, sama z sobą i ze swoją sztuką. Nasze światy bardzo się różnią, nie leżą nawet obok siebie. W żadnym punkcie nie stykają się z sobą. Łączy nas tylko praca nad przewodnikiem.

Ściany pomieszczenia wirowały coraz szybciej i szybciej. Krew płynęła w naczyniach w rytm muzyki. Zauważyłam go dopiero, kiedy stanął tuż obok.

– Zatańczysz ze mną?

Lubię tańczyć. On też lubi. I nasze ciała bardzo się lubią. Tak jak w nocy, tak i w tańcu nasze ciała stanowią jedność.

Czułam jego oddech, napięte mięśnie, ślizgające się po moim ciele dłonie. Moje nogi były przy jego nogach, moja głowa przy jego ramieniu, moje włosy muskały jego twarz, moje ciało próbowało z jego ciałem stworzyć jedność... Szkoda, że nie można się kochać na parkiecie. Ciekawe, czy w regulaminie tego klubu zaznaczono, że nie można uprawiać seksu na podłodze w trakcie sobotniej potańcówki.

Niedziela rano

Obudziłam się, a on siedział w fotelu pod oknem. W pierwszej chwili pomyślałam, że to pogranicze jawy i snu, że to sen, śniony jeszcze przed chwilą, miesza się z rzeczywistością. Pamiętałam, że wychodził, a właściwie że zbierał się do wyjścia, kiedy cudownie zmęczona zapadłam w sen. Mówił coś o Francesce, że ma zadzwonić. Było mi wszystko jedno. Marzyłam wtedy tylko o śnie. Czułam jeszcze jego bliskość. Mięśnie drżały mi ze zmęczenia. Dziwne ciepło rozchodziło się po całym ciele. Skórę miałam wilgotną od potu, nawet włosy wydawały się mokre. Pościel miała jego zapach. Na stole, podłodze i parapecie dogorywały ogarki świec. W powietrzu unosiła się wyraźna woń stearyny. Że też świeczki pachną jak seks. Nigdy wcześniej tego nie zauważyłam. Czułam się cudownie zmęczona. Pochylił się jeszcze nade mną, narzucił na mnie pled.

– Przykryj się, bo nigdy stąd nie wyjdę.

I pomyśleć, że nie ma w tym żadnych uczuć, tylko czyste pożądanie. Jeszcze wczoraj nie podejrzewałabym siebie o to. Nikt nie zna samego siebie, co dopiero mówić o innych ludziach. Zawsze wydawało mi się, że jeżeli chodzi o seks, to jestem odrobinę staroświecka, konserwatywna, skażona drobnomieszkańską mentalnością. Jak to się można pomylić,

zaskoczyć samego siebie. Postać w fotelu pod oknem drgnęła. Za jej plecami budził się nowy dzień. Przez uchylone okno słychać było pierwszy świergot ptaków. Brzask na zewnątrz rozbudzał ciemność. Na tle powoli rozjaśniającego się nieba zarysował się kształt rosnącego za oknem cyprysa. W pokoju panowała jeszcze ciemność. W tej ciemności był on i ja, i nasze rozszalałe od dwóch dni zmysły.

– Mówił ci już ktoś kiedyś, że niesamowicie wyglądasz, kiedy śpisz? Uśmiechasz się przez sen. Świetne zjawisko. Nie zamknęłaś za mną drzwi... – dorzucił niespodziewanie.

– Przypuszczałam, że wrócisz – skłamałam.

– A co by było, gdyby przyszedł ktoś inny?

– Żartujesz? W tym domu mieszkam tylko ja i signora Mornetti. Ja nie grzeszę bogactwem, a signora Mornetti ma syna policjanta. Tu nigdy nikt obcy się nie kręci.

Wtedy pomyślałam, że przecież on też jest obcy. Nic o nim nie wiem. Poznałam go przed paroma miesiącami, tworzymy razem przewodnik, ale najczęściej pracujemy osobno. Jest facetem Franceski, ale jej też prawie nie znam. Przyjechała na naszą uczelnię w ramach Erasmusa. Przez krótki czas przed paru laty byliśmy w jednej grupie studenckiej. Stroniła od nas. Izolowała się. Początkowo próbowaliśmy zabierać ją wszędzie z sobą, aż w końcu zrozumieliśmy, że ona nie potrzebuje do szczęścia naszego towarzystwa, że tak naprawdę do niczego nie jesteśmy jej potrzebni. Ona mierzyła znacznie wyżej. Miała zupełnie inne aspiracje i inne marzenia. Postawiła sobie cel i dzień po dniu, a właściwie zajęcia po zajęciach, wykład po wykładzie, konsultacja po konsultacji dążyła do realizacji tego celu. Założyła się z Robertem, że poderwie profesora Warę. Profesor był dziekanem na naszym wydziale, prowadził zajęcia z malarstwa. Nikt nic nie miał do Wary. Był w porządku. Nikogo nie niszczył i nikogo nie wyróżniał. Był wymagający, ale w granicach rozsądku. Nie

narzucał nikomu swojego zdania. Pozwalał na spontaniczność. Można go było przekonać do różnych koncepcji. Nie zabijał w nas inności. Pamiętam, jak kiedyś na arkuszu papieru namalowałam punkt. Czarną małą plamkę na olbrzymiej białej powierzchni. Stał wtedy za moimi plecami, przyglądał się długo i w końcu powiedział, że na swój sposób jest to genialne. Ten punkt to kropka. A kropka kończy zdanie. Coś zamyka. Praca miała być alegorią śmierci i przemijania. Dokładnie to miałam na myśli, ale zdziwiło mnie, że on odczuwa to tak samo. Kropka i nic. Kropka i koniec. Skończyło się coś raz na zawsze. Nie ma znaczenia, co było wcześniej. Nie będzie już niczego później. Powiedział wtedy, że nie sztuką jest malować bajeczne pejzaże, że sztuką jest w swej twórczości coś ukryć – myśl, uczucie, przekleństwo, przestanie... Lubiałam profesora Warę. Właściwie lubili go wszyscy. Nie mam pojęcia, dlaczego obiektem zakładu był Wara. Od początku było to dla mnie niejasne i nielogiczne. Zresztą jak cały ten durnowaty zakład. Zrobiła to dla zabawy, zaszalała z nim dwa miesiące, wyjechała, zostawiła go, a on stracił wszystko. Najpierw rektor za romans ze studentką zawiesił go w pracy dydaktycznej na uczelni. Później rzuciła go żona. Usłyszawszy o jego romansie z Francescą, wystawiła mu walizki za drzwi. Nagle przez długonogą i ciemnowłosą Włoszkę został bez żony, bez dziecka, bez pracy, bez perspektyw i bez domu. Francesca miała siłę huraganu w niszczeniu wszystkich i wszystkiego. Rozsiewała wokół siebie zło, zostawiała po sobie popiół, pożogę i zgliszczka. Pamiętam, jak odetchnęliśmy z ulgą, kiedy wyjechała. Spotkałam ją przypadkowo parę lat później. Wpadliśmy na siebie na ulicy. Ona była służbowo w Wenecji w związku z jakimś pokazem mody, ja byłam z Wojtkiem. Pogadałyśmy przy kawie. Raz zjadłyśmy razem kolację. To nasze spotkanie nie było właściwie niczym szczególnym, nie miało żadnego znaczenia. Zadzwoiłam do niej,

kiedy przyjechałam na plener do Toskanii. To ona namówiła mnie, żebym została na dłużej. Prawie jej nie znam. Nie znam ani Franceski, ani Enrica.

– Młoda kobieta, wcześniej pobudzająca swym tańcem wyobraźnię wielu facetów, i otwarte drzwi... – dotarł do mnie jak z zaświatów głos Enrica.

– Przesadzasz...

– Nie doceniasz ludzkich namiętności...

– Przecież byłam tam z tobą. Przyszliśmy razem i razem wyszliśmy.

– Myślisz, że to ma znaczenie? To nic nie znaczy. Nas przecież też tak naprawdę niewiele łączy. To tylko nasze ciała bardzo się lubią...

Przesiadł się na brzeg łóżka. Siadając, niechcący odsunął brzeg pledu. Niby przypadkiem przesunął ręką po moim odstsoniętym udzie. Potem już z rozmysłem przejechał ręką po owalu mojego biodra. Jego ręka powędrowała po moim brzuchu w kierunku odstsoniętych piersi. Niby przypadkiem napotkała na swej drodze napęczniałe pożądaniami brodawki. Zatrzymał dłoń właśnie na nich. Dreszcz przebiegł mi po ciele. Poczułam, jak go pragnę. Szlag by trafił tego Włocha! Uzaależniłam się od niego i od seksu. Wystarczyły dwa dni, żeby zaczął mną rządzić orgazm. Próbowalam się jeszcze bronić. Prawdę mówiąc, przed samą sobą, przed narastającym pożądaniami, przed bezwstydnym pragnieniem rozkoszy.

– Kiedy przyjeżdża Francesca? – próbowałam sama siebie sprowadzić na ziemię.

– Już przyjechała...

– Przyjechała? Wróciła szybciej? To co ty tutaj robisz?

– Kończę to, co zaczęłam z Franceską...

Kochaliśmy się w łóżku, na podłodze, pod prysznicem, na stole w kuchni. Nie przypuszczałam, że moje mieszkanie stwarza tyle wcześniej nieodkrytych możliwości.

Niedzielne popołudnie

Dziwne, ale z przyjemnością poszłam na tę kolację. W pierwszej chwili sama się siebie przeraziłam. Nie potrafiłam wskrzesić w sobie poczucia winy. Czulałam raczej niezdrawe podniecenie towarzyszące zwycięstwu. Jeszcze czulałam Enrica w sobie. Moje uda dziwiły się, że są razem. Sukienkę naciągnęłam na gołe ciało. Chciałam, żeby było widać piersi nabrzmiałe rozkoszą. Na wargach czulałam jeszcze gorące pocałunki. Kształt ust podkreśliłam karminową pomadką. Wilgoć przenikała moją bieliznę i pomimo kąpieli towarzyszył mi wszechobecny zapach jego ciała, mieszający się z drażniącą wonią moich perfum. Byłam podniecona i cudownie zmęczona. Każdy fragment mojej skóry pamiętał jeszcze jego pocałunki, każdy mięsień czuł dreszcze rozkoszy. Wydawało mi się, że nawet jego spojrzenie wywołuje u mnie falę gorąca. Niekończący się orgazm, przesywający moje ciało na wskroś. Musiało być w moim wyglądzie coś wyjątkowego, bo przykuwałam męskie oczy. Gorąca, wyzwolona, szczęśliwa, spełniona, bezwstydną... Włożyłam czerwoną sukienkę. Ta sukienka pochodzi z wiosennej kolekcji Franceski. Podarowała mi ją kiedyś, myśląc zapewne, że jej nigdy nie włożę. Sukienka jest odważna, prowokująca, drażniąca, bezwstydną. Jest zaprzeczeniem tego, co zwykle noszę. Wydawało mi się, że idealnie pasuje na ten wieczór. Odstania ramiona, długim rozcięciem wchodzi pomiędzy piersi, podkreśla talię, lekko opina biodra, tańczy rozkloszowanym dołem przy każdym ruchu, kończy się ponad kolanami, a przy każdym kroku przez odważne rozcięcie migają gołe uda. Nigdy nawet nie przypuszczałam, że kiedykolwiek się tak ubiorę. Tymczasem poczułam się w tym stroju cudownie. Wyzwolona, ponętna, piękna... Kolor karminowy i brąz opalonego wiosennym słońcem ciała. W sumie

kiczowate połączenie kolorów, które nagle wydało mi się czymś niepowtarzalnym i wyjątkowym. Całości dopełniały sandały na niebotycznie wysokim obcasie, który sprawiał, że moje nogi wydawały się nie kończyć. Od pani Mornetti dostałam czarne dodatki. Czern i karmin pasują do siebie wyjątkowo.

– Idziesz komuś dokopać? – spytała mnie, ponoć zupełnie przypadkiem otworzywszy drzwi od swojego mieszkania, kiedy ja próbowałam odnaleźć w czeluściach torebki swoje klucze. – Wyglądasz porażająco. Każdy facet na ciebie poleci. Każda kobieta będzie chciała cię zabić. Młodość. Burza niepowtarzalnych emocji!

Ujrzałam Francescę i Enrica w rogu sali. Nachyleni ku sobie, zajęci byli rozmową. Pierwsza zobaczyła mnie Francesca. Pomachała mi ręką. Powiedziała coś do niego. Uniósł na mnie wzrok i już później nie potrafił tego wzroku ode mnie oderwać. Piliśmy chianti, rozmawialiśmy o Rzymie, o trendach w modzie, o artystach chaturzących na ulicach Wiecznego Miasta, o bezdomnych kotach bląkających się setkami wokół piramidy Cestiusza, o hotelu z szarą, zimną poscielą, zatłoczonych ulicach, brudnym metrze, podłej jakości jedzeniu, o wszędobylskich turystach i o wielu innych przywarach tamtego miasta. W sumie cały nasz wspólny wieczór kręcił się jak zawsze wokół Franceski, a mówiąc dokładniej, Francesca i jej pobytu w Rzymie. Sama Francesca ubrana była w kremową jedwabną sukienkę, która swą udawaną grzecznością nijak nie pasowała do jej natury. Wyglądała, jakby jeden z aniołów przypadkiem zagościł na ziemi i sam jeszcze nie wiedział, czy powinien się tutaj zatrzymać na dłużej. Makijaż miała taki jak zwykle – mocny i wyzywający. W sumie ta niespójna całość aż krzyczała fałszem. Każdym gestem prowokowała i drażniła. Jak zawsze musiała grać pierwsze skrzypce, skupiać na sobie uwagę innych, być w centrum zainteresowania. Śmiała się idiotycznie, mówi-

ła głośno. Swym zachowaniem gwałciła innych, by spojrzeli w jej stronę. Dzisiaj mnie to nawet nie denerwowało. Było mi wszystko jedno. Piłam wino, bawiłam się spojrzeniami Enrica, przypadkowymi spotkaniami naszych stóp pod stołem, błyskiem w jego oczach, kiedy patrzył w moją stronę, delikatnym, błakającym się po jego twarzy uśmiechem. Był rozmarzony, rozleniwiony, nieobecny. Francesca mówiła, mówiła i mówiła, a ja z minuty na minutę czułam się coraz bardziej znużona.

– Ja lubię Rzym – przerwałam jej, kiedy poczułam, jak położona wcześniej na moim kolanie dłoń Enrica zaczęła wędrować w górę wzdłuż mojego uda. Niebezpieczny dreszcz przebiegł mi po ciele.

– Nie można lubić Rzymu – przerwała mi gwałtownie Francesca. Wydęła usta w grymasie dezaprobaty. – To jakieś farmazony. Rzadko tam bywasz – mówiła z lekceważeniem. – Jesteś tam tylko chwilę... Jesteś tam turystką. Turysty wszędzie czują się dobrze.

– Lubię, kiedy zatyka mi dech w piersiach z wrażenia... – Sama już nie wiem, o czym mówiłam. O Rzymie czy o ręce Enrica, która coraz wyżej i wyżej wędrowała po mojej nodze, która osiągnęła brzeg mojej bielizny? O fali gorąca przechodzącej przez moje ciało?

– Dech w piersiach? W Rzymie dużo częściej zatyka dech w piersiach smog niż podziw. Brudne, zapyziałe miasto, żyjące tylko religią i przeszłością... Żadnych perspektyw, żadnych pomysłów na przyszłość... Jak smog zniszczy Forum Romanum, to już nikt tam nie przyjedzie...

Nie chciało mi się z nią dyskutować. Nie miałam już ochoty jej słuchać. Nagle miałam powyżej dziurek w nosie jej wrażeń z Rzymu. Odwróciłam głowę w bok i zobaczyłam wlepione we mnie oczy mężczyzny siedzącego przy stoliku obok. Nasz wzrok spotkał się na chwilę. Nieznajomy uniósł kieliszek do

góry, kiwnął głową w moją stronę, przyłożył lampkę do brzegu ust. Poczulałam się nieswojo. Jego wzrok wędrował po brzegach mojej sukienki, po obnażonych ramionach, po nie do końca ukrytych za skąpą tkaniną piersiach, po czym ześlizgnął się na nogi. Myślę, że siedząc w odchylonym do tyłu fotelu, widział też pieszczącą moje nogi rękę Enrica. Jak na złość jakiś gitarzysta zaczął stroić instrument, a po chwili ciepły głos wokalisty wbił się ponad szum rozmów, przebił przez szarość wypełniającego pomieszczenie papierosowego dymu. Ciepły głos sławił moc miłości, która oplata jak pajęczyna i łączy na wieki. Nijak to się miało do moich osobistych doświadczeń i do szaleństwa ostatniego weekendu. Widocznie ta prawdziwa miłość nie wszystkim jest pisana. Niektórym pisana jest tylko zmysłowość, pożądanie i seks. No i dobrze, przynajmniej coś jest dla mnie. Na parkiecie zaroziło się od ludzi. Wiele par chciało się poprzytulać w rytm piosenki o nigdy niekończącej się miłości. Szlag by to trafił! Francesca uniosła się do tańca, a ręka Enrica błyskawicznie zniknęła z mojego uda. Wstając postusznie za Francescą, nawet nie omiótł mnie wzrokiem. Głupi palant! Bezwolny idiota! Zastrany pantoflarz! Właśnie postanowiłam wrócić do domu, kiedy jak spod ziemi wyrósł przy mnie tamten siedzący wcześniej samotnie facet.

– Zatańczysz?

Wstałam odruchowo. Dałam się porwać do tańca i nagle poczułam się zupełnie inaczej niż z Enrikiem. Facet tańczył bardzo dobrze, ale trzymał dystans. Jego ręce leżały tam, gdzie powinny. Głowę trzymał lekko odgiętą do tyłu, jego nogi nie splatały się z moimi, jego biodra nie przylegały do moich. Takt, szacunek, elegancja... Przez ten dystans poczułam się kimś wyjątkowym. Dziwni są ci faceci. Niepojęta jest dla mnie ta męska natura. Tańczyliśmy i tańczyliśmy bez końca. Tym tańcem wzbudziliśmy niepokój. Kątem oka widziałam przyglądającą się nam Francescę. Czulałam na sobie ścigającą

mnie spojrzenia Enrica. Oni już dawno przestali tańczyć. Od dłuższej chwili siedzieli przy stoliku, nie odrywając od nas wzroku. Cudownie tańczył ten Antonio. Czułam się, jakbyśmy płynęli ponad parkietem. Wszystko przestało się liczyć, oddaliło się i odpłynęło. Poczulałam się nagle taka lekka, wolna i bezpieczna.

– Uważaj na Enrica! – usłyszałam nagle szept nieznajomego. – On nie zasługuje nawet na twoje spojrzenie. To niewiele warta gnida.

Niedziela, parę godzin później

Dziwny wieczór. Lepiej się nad nim nie zastanawiać. Niewiele z niego rozumiem. Antonio odprowadził mnie do stolika, na chwilę przytrzymał jeszcze moją rękę.

– Dziękuję. Cudownie tańczysz.

Odwrócił się i odszedł, zapłacił przy barze, z ujmującym uśmiechem przeciskał się pomiędzy tańczącymi parami w kierunku wyjścia. Machnął jeszcze ręką na pożegnanie jakiejś parze siedzącej przy drzwiach pod ścianą i zniknął. Ja też chciałam już tylko iść do domu. Denerwował mnie błędzący po moim ciele, pełen bezwstydnego pożądania wzrok Enrica. Nic chyba bardziej nie podnieca mężczyzny niż widok jego kochanki tańczącej w objęciach innego faceta. Dotknięcie jego ręki na moim kolanie poczułam jak oparzenie. Odsunęłam się gwałtownie od stolika. „Co się stało, do cholery?” – pomyślałam. „To przecież był tylko taniec, parę utworów zatańczonych z nieznajomym, a we mnie zmieniło się wszystko”. Jak za pstryknięciem palcami oddaliły się wspomnienia dwóch poprzednich dni. Ja, nie ja, taka sama, a już zupełnie inna, odmieniona, odczarowana, a może zaczarowana na nowo, ale zupełnie inaczej. Wybudzona z jakiegos

snu, a może zasypiająca właśnie z nowymi marzeniami sen-
nymi pod powiekami.

– Coś nie tak? – Głos Enrica dotarł do mnie jak z zaświa-
tów. – Zachowujesz się jakoś inaczej...

– Nie. Wszystko w porządku – skłamałam. – Mam za
sobą intensywny weekend. Poczulałam się zmęczona. Pójdę już
do domu. „Marzę o kąpieli – pomyślałam – o kubku ciepłe-
go mleka, samotności, przytulności pościeli, miękkości mojego
łóżka, cicho włączonej muzyce...” Chciałam już tylko wstać
i się z nimi pożegnać. Raptem oboje zaczęli mnie drażnić.

– Jak ci się spodobał Antonio Sergrano? – zatrzymała mnie
pytaniem Francesca.

– Tańczy wspaniale... – odpowiedziałam z wahaniem.
„Tańczy wspaniale – pomyślałam – i jest zupełnie inny. Taki
człowiek jakby z jakiejś innej bajki”.

– Nie pytam o taniec. – Spojrzała na mnie z niesma-
kiem. – Taniec widziałam... Tańczy dobrze, ale bez emocji.
Dla mnie za zimno. Wieje chłodem. W jego tańcu nie było
ognia.

– A o co w takim razie pytasz?

– O Antonia...

– Facet jak facet. Nie znam go. Wymieniliśmy z sobą zale-
dwie jedno zdanie.

– Czasami nie trzeba więcej... Czasami nawet milczenie
wystarczy, żeby poczuć to coś. Tańczyliście, jakbyście się znali
od zawsze. Wasze ciała rozumiały się doskonale – powiedzia-
ła z przekąsem. – Facet jest wielką tajemnicą. Prowadzi się
jak ksiądz. Nie utrzymuje z nikim bliższych kontaktów. Jest
poprawny wobec wszystkich, ale nie ma bliskich znajomych.
Wygląda, jakby od wszystkich stronił, jakby nikogo nie po-
trzebował do szczęścia. Nie prowadzi się z nikim. Nie bywa
w knajpach. Nie widuje się go w niedzielę w kościele. Jak na
Włocha to oba te fakty są co najmniej dziwne. W tej knajpie

widzę go po raz pierwszy, a my tu przecież z Enrikiem dość często bywamy. Facet wydaje się niedostępny. Mieszka tu już od paru lat i nadal nikt z nas prawie nic o nim nie wie. To pobudza wyobraźnię, podnieca... To powoduje, że do atrakcyjnej powierzchowności całą resztę dopowiadają zmysły...

Pomyślałam sobie, że Francescę wszystko podnieca, poczynając od głosu Enrica. Antonio jest zupełnie inny niż Enrico. Nie potrafię tego sprecyzować, nie próbuję nawet nazwać.

Francesca i Enrico opowiedzieli mi trochę o Antoniu. Przed laty przyjechał tu na wakacje. Spędzał je w towarzystwie jasnowłosej piękności. Spodobało im się. Chcieli tu zostać. Zapragnęli kupić dom w okolicy. Obejrzeliby chyba wszystkie domy, które były na sprzedaż w promieniu około trzydziestu kilometrów od Fiano. Wyjechali, a po paru miesiącach wrócił sam Antonio. Pozornie taki sam, ale zupełnie już inny. Stronił od towarzystwa. Omijał tawerny i restauracje. Kupił dom na lawendowym wzgórzu, otoczony gajem oliwnym, przylegający do winnicy. Ponoć do jego posiadłości należy właśnie ta brama, którą malowałam w piątek. To do jego domu prowadzi też aleja, w której drzewa tworzą tunel, podając sobie ramiona. Nikt o nim nic nie wie. Z nikim nie utrzymuje bliższego kontaktu. Dla miejscowych jest wielką tajemnicą. Każdy opowiada co innego, konfabulacja goni konfabulację. Wyobraźnia ludzka nie ma granic. Zawiść nie zostawiła na nim suchej nitki. Ludzi pokroju Franceski doprowadza do szaleństwa. Musi mieć dom jeszcze gdzie indziej, bo wyjeżdża z Fiano dość często. Zainwestował w dużą winnicę. Wino z tej winnicy od paru lat cieszy się rosnącą popularnością. Wiele sklepów w okolicy je sprzedaje. Na etykietach są dwa drzewa oliwne ze splecionymi konarami. Rzadko kupuję wino. Nie widziałam takiej etykiety, a może widziałam, tylko nie pamiętam. Francesca mówiła, że Antonio jest właścicielem paru sklepów w Certaldo i w San Gimignano. W jego sklepach poza winem

sprzedawane jest limoncello. Nie cierpię likieru cytrynowego, ale ten jest ponoć wyjątkowy, stworzony według jakiejś starej receptury... Pomyślałam, że muszę się skusić. Pojadę do San Gimignano i kupię sobie ten likier Antonia. Może nie każde limoncello ma tę nutę potwornej goryczy? A może ta gorzka nuta nie będzie mi tym razem przeszkadzała?

– Ta niedostępność Sergrana mnie intryguje. Już jego wygląd może spowodować orgazm. Antonio sprawia wrażenie zimnego faceta. To mnie rozgrzewa i podnieca – mówiła rozmazanym głosem Francesca. – To jak wyzwanie... Ciekawe, czy zdołałabym go rozgrzać. Położyłabym się przy nim naga i zmusiła go, żeby mnie przeleciał... To mogłoby być cudowne. A swoją drogą, jak bawiliście się z Enrikiem pod moją nieobecność? – Spojrzała w moją stronę rozbawionym wzrokiem. – Enrico twierdzi, że rewelacyjnie... Ponoć jesteś bardzo gorąca.

„Szlag by trafił tego Enrica!” – pomyślałam z wściekłością. Głupi palant!